


I Was Born for This





**I Was
Born for
This**

Alice Oseman

Tłumaczenie:
Natalia Mętrak-Ruda



First published in English in Great Britain by HarperCollins *Children's Books*,
a division of HarperCollins *Publishers* Ltd., under the title: I WAS BORN FOR THIS.

Copyright © Alice Oseman 2018

Translation © 2023 translated under the licence of HarperCollins *Publishers* Ltd.

Alice Oseman asserts the moral right to be acknowledged as the author of this work.

Redakcja: Justyna Techmańska

Korekta: Renata Kuk, Marta Tojza

Skład i łamanie: Robert Majcher

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-236-8

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: Abedik

Wydrukowano na papierze Creamy 70,

dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

Dzieci mawiają, że ludzi wieszają czasem za mówienie prawdy.

– Joanna d’Arc

PONIEDZIAŁEK

Miałam trzynaście lat, gdy usłyszałam głos Boga.

– Joanna d'Arc

ANGEL RAHIMI

– Zaraz się przewrócę – mówię, kładąc rękę na sercu. – Ty naprawdę istniejejesz.

Juliet, która właśnie wyrwała się z moich ramion, uśmiecha się tak szeroko, że jej twarz wygląda, jakby miała pęknąć.

– Ty też! – odpowiada, wskazując na mnie. – To strasznie dziwne. Ale fajne.

Teoretycznie nie powinnyśmy się czuć niezręcznie. Rozmawiam z Juliet Schwartz od dwóch lat. Owszem, tylko przez internet, ale przyjaźnie internetowe nie różnią się dziś aż tak bardzo od tych rzeczywistych, a Juliet wie o mnie więcej niż moi najbliżsi koledzy ze szkoły.

– O rany, jesteś prawdziwą istotą cielesną – zauważam. – Nie tylko zbiorem pikseli.

Wiem o Juliet prawie wszystko. Wiem, że nigdy nie zasypia przed drugą, że jej ulubiony wątek fanfikowy to „kto się czubi, ten się lubi” i że kryje się ze swoją miłością do Ariany Grande. Wiem, że prawdopodobnie wyrośnie na popijającą wino kobietę w średnim wieku, która mówi do wszystkich „kochanie” i zawsze zerka trochę spode łba. Ale nie spodziewałam się takiego głosu (jest głębszy i o akcencie bardziej snobistycznym niż na Skypie) ani włosów (zawsze mówiła, że jest rudzielcem, ale w kamerce jej włosy wydają się brązowe), ani wzrostu (jest ode mnie niższa o głowę). Akurat na to mogłam być przygotowana, biorąc pod uwagę, że mierzę jakieś siedemnaście metrów).

Juliet wygląda grzywkę, ja poprawiam sobie hidżab i razem wychodzimy ze stacji St Pancras. Przez chwilę milczymy. Zaczynam się nieco

denerwować, co jest o tyle irracjonalne, że to przecież moja bratnia dusza – odnalazłyśmy się w głębinach internetu mimo wszelkich przeciwności i od razu stałyśmy się duetem.

Ona jest błyskotliwą romantyczką, ja – kapryśną zwolenniczką teorii spiskowych. Obie najbardziej na świecie kochamy The Ark – najlepszy zespół w historii wszechświata.

– Musisz mi powiedzieć, dokąd idziemy – odzywam się z uśmiechem. – Mam fatalną orientację w terenie. Potrafię się zgubić w drodze do szkoły.

Juliet się śmieje. To kolejny nowy dźwięk. Wyraźniejszy, ostrzejszy niż na Skypie.

– Cóż, to ty odwiedzasz mnie, więc moim zadaniem jest cię poprowadzić.

– OK, masz rację. – Wzdycham z przesadną emfazą. – Naprawdę myślę, że to będzie najlepszy tydzień w moim życiu.

– O Boże, prawda? Odliczałam dni. – Juliet wyciąga telefon, włącza ekran i pokazuje mi zegar odmierzający czas. „Jeszcze 3 dni”, czytamy.

Zaczynam paplać.

– Kompletnie mi odbiło. Nawet nie wiem, w co się ubiorę. I nie wiem, co powiem.

Juliet znowu wygładza grzywkę. Wydaje mi się, że doskonale wie, co robi.

– Nie martw się, mamy jeszcze trzy dni na wymyślenie planu. Zrobię listę.

– O rany, ty naprawdę zrobisz listę, co?

W prawdziwym życiu nie mamy żadnych znajomych, którzy też lubiliby The Ark, ale to bez znaczenia, bo mamy siebie. Kiedyś starałam się nakłonić do rozmów o The Ark innych – moich kolegów ze szkoły, rodziców, starszego brata – lecz nikogo to nie obchodziło. Zazwyczaj po prostu ich irytowałam, bo kiedy zaczynam mówić o The Ark – czy w zasadzie o czymkolwiek – często trudno mi przestać.

To nie dotyczy Juliet. Spędziłyśmy długie godziny, rozmawiając o The Ark, i żadna z nas nie znudziła się ani nie zmęczyła.

A teraz spotkałyśmy się po raz pierwszy.

Wychodzimy z dworca. Leje. Na ulicy tłum. Nigdy wcześniej nie byłam w Londynie.

– Ten deszcz jest okropny. – Juliet marszczy nos. Puszczą moje ramię, żeby otworzyć parasol, jeden z tych wymyślnych, plastikowych.

– Tak – zgadzam się, ale kłamię, bo tak naprawdę deszcz mi nie przeszkadza. Nawet takie dziwne sierpniowe burze.

Juliet idzie dalej beze mnie. Stoję, jedną rękę trzymam na plecaku, drugą w kieszeni. Ludzie palą przed dworcowym wejściem. Uwielbiam zapach dymu papierosowego. Czy to źle?

To będzie najlepszy tydzień w moim życiu.

Poznam The Ark.

Dowiedzą się, kim jestem.

Wtedy to wszystko będzie coś warte.

– Angel? – woła Juliet, która przeszła już kilka metrów. – Wszystko OK?

Patrzę na nią zdziwiona, aż zdaję sobie sprawę, że użyła mojego internetowego nicka, a nie prawdziwego imienia Fereshteh. W sieci przedstawiam się jako Angel od trzynastego roku życia. Wtedy myślałam, że to brzmi fajnie. I nie, nie nazwałam się tak na cześć postaci z serialu *Buffy: Postrach wampirów*. Fereshteh to „anioł” w farsi.

Chociaż bardzo lubię swoje imię, Angel jest już częścią mnie. Ale rzadko je słyszę w prawdziwym życiu.

Wyciągam naprzód ramiona, uśmiecham się szeroko i mówię:

– Po prostu żyję.

Mimo nerwów towarzyszących naszemu pierwszemu spotkaniu okazuje się, że prawdziwe życie nie różni się aż tak bardzo od internetowego. Juliet jest tą wyluzowaną, spokojną i zorganizowaną, ja – tą głośną i męczącą, a obie przez całą drogę na stację metra rozmawiamy tylko o spotkaniu z The Ark.

– Mojej mamie odbiło – mówię, kiedy wsiadamy do wagonu metra. – Wie, że uwielbiam The Ark, ale kiedy powiedziałam jej, że chcę tu przyjechać, zabroniła mi.

– Co? Dlaczego?

– Cóż... tak jakby... opuszczam przez to zakończenie roku szkolnego.

To bardziej skomplikowane, lecz nie chcę nudzić Juliet szczegółami. W zeszłym tygodniu odebrałam wyniki egzaminów i ledwie udało mi się sprostać wymaganiom – niezbyt zresztą wysokim – stawianym przez uczelnię, którą wybrałam. Rodzice oczywiście pogratulowali mi, ale wiem, że są wkurzeni, że nie poradziłam sobie równie dobrze, jak mój starszy brat Rostam, który dostał najwyższą ocenę z każdego egzaminu, jaki kiedykolwiek zdawał.

A wtedy mama miała czelność odmówić mi wyjazdu na koncert The Ark po to tylko, żebym mogła pójść na bezsensowną ceremonię zakończenia roku szkolnego, uściskać dłoń dyrektorowi i pożegnać się z kolegami z klasy, których pewnie nigdy więcej nie zobaczę.

– To jest w czwartek rano – ciągnę. – Tego samego dnia co koncert. Moi rodzice zamierzali przyjść. – Wzruszam ramionami. – To głupie. Nie jesteśmy Amerykanami: nie mamy specjalnej ceremonii. Tylko nasza szkoła wymyśliła sobie jakieś durne, bezsensowne zakończenie roku.

Juliet marszczy brwi.

– Brzmi beznadziejnie.

– W każdym razie powiedziałam mamie, że nie ma opcji, żebym poszła na to coś zamiast na koncert The Ark, ale ona wciąż mi odmawiała i w końcu pokłóciliśmy się strasznie, co jest o tyle dziwne, że nigdy się nie kłócimy. Wciąż znajdowała jakieś wymówki: „Och, w Londynie jest niebezpiecznie”, „Nawet nie znam tej twojej koleżanki”, „Nie możesz pojechać kiedy indziej?”, bla, bla, bla. Koniec końców musiałam po prostu wyjść, bo nie mogłam przecież odpuścić.

– Jezu – mówi Juliet, ale nie wydaje mi się, żeby załapała. – I dobrze się z tym czujesz?

– Tak, jest OK. Mama po prostu mnie nie rozumie. Umówmy się: w tym tygodniu będziemy tylko oglądać w domu filmy, pójdziemy na jedną imprezę fandumu, a potem w czwartek na spotkanie z zespołem i koncert. Nie brzmi to szczególnie niebezpiecznie. A to coś w szkole nie ma żadnego sensu.

Juliet wykonuje dramatyczny gest i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– The Ark docenią twoje poświęcenie.

– Dziękuję za wsparcie, towarzyszeko – mówię równie dramatycznym tonem.

Kiedy docieramy na szczyt schodów na stacji Notting Hill Gate, telefon wibruje mi w kieszeni, więc wyjmuję go i zerkam na ekran.

O, tata wreszcie odpowiedział.

Tata

Mama się uspokoi. Zgłaszaj się, kiedy będziesz mogła. Wiem, że to szkolne wydarzenie nie jest w sumie takie ważne. Mama po prostu się martwi, czy podejmujesz dobre decyzje. Ale rozumiemy, że potrzebujesz wolności, i jesteśmy pewni, że przyjaźnisz się z właściwymi ludźmi. Masz osiemnaście lat i jesteś silną, rozsądną dziewczyną. Mimo tego, co mówi twoja matka, wiem, że świat nie jest taki zły. Wiesz, że wpojono jej inne wartości: szanuje tradycję i osiągnięcia naukowe. Ale ja się trochę w młodości nawygłupiałem. Trzeba sobie nieco pożyć, *inshallah!* Poza tym musisz mi zapewnić jakąś pisarską inspirację, nudziaro! Kocham cię xx

Przynajmniej tata jest po mojej stronie. Zazwyczaj tak jest. Myślę, że czasem liczy na to, że narobię jakiegoś niegroźnego bałaganu, żeby mógł opisać całą sytuację w jednej ze swoich powieści.

Pokazuję wiadomość Juliet. Wzdycha.

– „Świat nie jest taki zły” – powtarza. – Cóż za szalony optymizm.

– Prawda?

Spędzimy tydzień w domu babci Juliet. Sama Juliet mieszka pod Londynem, ale zasugerowała, że łatwiej będzie nam się dostać na spotkanie fandomu i na koncert, jeśli zostaniemy w mieście. Mnie to tylko ucieszyło.

Dom mieści się w Notting Hill. Rodzina Juliet jest bogata. Zdałam sobie z tego sprawę dość wcześnie, kiedy Juliet kupiła gadzety The Ark za jakieś pięćset funtów, żeby wziąć udział w konkursie, a potem nawet się nie zmartwiła, gdy przegrała. Ja przez wiele lat spędzonych w fando-mie The Ark ledwie zaoszczędziłam tyle, żeby kupić sobie bluzę i plakat.

No i oczywiście bilet na spotkanie przed czwartkowym koncertem w O2.

– O, stara, elegancko – mówię, kiedy wchodzimy do przedpokoju. Jest wyłożony białymi kaflami. Na ścianach wiszą najprawdziwsze obrazy.

– Yy, dzięki? – Ton głosu Juliet zdradza, że nie ma pojęcia, co odpowiedzieć. Zazwyczaj staram się nie zwracać uwagi na to, o ile jest ode mnie bogatsza, bo to byłoby niezręczne dla nas obu.

Zdejmuję buty, a Juliet mówi, żebym zostawiła swoje rzeczy w naszej wspólnej sypialni. Jest tu parę innych pomieszczeń, w których mogłabym spać – pokój gościnnie i gabinet – ale najlepsze w nocowaniu u przyjaciółki są głębokie rozmowy o życiu prowadzone w łóżku, z maseczkami na twarzy, miską pringlesów i beznadziejną komedią romantyczną w tle. Czyż nie?

Następnie zostaję przedstawiona babci Juliet, która ma na imię Dorothy. Jest niska, podobnie jak Juliet, i wygląda na znacznie młodszą niż, jak podejrzewam, jest. Ma długie włosy ufarbowane na piaskowy blond. Siedzi przy kuchennym stole i pisze coś na laptopie, w okularach na czubku nosa i designerskich kaloszkach na nogach.

– Dzień dobry – wita mnie z ciepłym uśmiechem. – Jesteś Angel, prawda?

– Tak! Dzień dobry!

OK, to naprawdę dziwne, że ludzie mówią do mnie Angel w prawdziwym życiu.

– Cieszysz się na czwartkowy koncert? – pyta Dorothy.

– Nawet pani nie wie, jak bardzo!

– Tak myślałam! – Zamyka laptopa i wstaje. – Postaram się wam zbytnio nie przeszkadzać. Na pewno macie z J mnóstwo spraw do przegadania!

Zapewniam, że w niczym nam nie przeszkadza, ale ona i tak wychodzi z pomieszczenia – czuję się nieco winna. Nigdy nie wiem, jak zachowywać

się w obecności dziadków, jako że moi albo nie żyją, albo mieszkają daleko. O tym też nigdy z nikim nie rozmawiam.

– No dobra – mówię, zacierając ręce. – Co mamy do jedzenia?

Juliet szeleści włosami i uderza dłońmi o kuchenną ladę.

– Nie jesteś na to gotowa – mówi, unosząc brew.

Następnie pokazuje mi całe mnóstwo jedzenia i picia, które kupiła na ten tydzień – przede wszystkim liczne pizze i napoje J2O – i pyta, na co mam teraz ochotę. Wybieram klasyczny pomarańczowy J2O z marakują, bo mam potrzebę trzymania czegoś w dłoniach. Nie znoszę mieć wolnych rąk, gdy nie mówię. Co się robi z rękami?

A potem Juliet dodaje coś jeszcze.

– Jeśli wyjdziemy koło szóstej, powinnyśmy zdążyć.

Przeciągam paznokciem po butelce J2O.

– Ale... dokąd idziemy?

Juliet zamiera po przeciwnej stronie lady kuchennej.

– Idziemy po... czekaj, czekaj, nie mówiłam ci?

Wzruszam ramionami.

– Mój przyjaciel Mac też przyjeżdża – mówi. – Na The Ark. Będzie tu z nami mieszkał.

Od razu wpadam w panikę. Nie wiem, kim jest Mac. Nigdy o nim nie słyszałam. Nie bardzo chcę spędzać czas z kimś, kogo nie znam. Nie mam ochoty na nowe znajomości, skoro ten tydzień miał być poświęcony Juliet i The Ark. Poznawanie ludzi to dla mnie duży wysiłek i z Makiem będzie tak samo, bo nie jest przyzwyczajony do mnie i do mojego gadulstwa, do mojej głębokiej miłości do pewnego boysbandu, w dodatku w tym tygodniu nie spodziewałam się żadnego Maca. Ten tydzień miał być poświęcony mnie, Juliet i naszym chłopakom z The Ark.

– Naprawdę ci o tym nie powiedziałam? – pyta Juliet, przeczesując włosy.

Brzmi, jakby się tym zmartwiła.

– Nie... – mówię. To niegrzeczne. Dobra. Muszę się uspokoić. Nic się nie dzieje. Mac na pewno jest w porządku. – Ale to nic nie szkodzi! Chętnie poznam kogoś nowego!

Juliet zakrywa twarz dłońmi.

– Boże, tak mi przykro. Byłam pewna, że ci o tym mówiłam. On jest naprawdę bardzo miły. Codziennie rozmawiamy na Tumblrze.

– Super! – Kiwam entuzjastycznie głową, choć mam poczucie winy. Chciałabym jej powiedzieć, że tak naprawdę wcale się nie cieszę, że się tego nie spodziewałam i że pewnie zrezygnowałabym z przyjazdu, gdybym wiedziała, że mam spędzić tydzień z jakimś obcym kolesiem. Ale nie chcę, żeby zrobiło się niezręcznie, zwłaszcza że jestem tu dopiero od dziesięciu minut.

Będę musiała po prostu kłamać. Tylko przez tydzień.

Mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy. Wie, że muszę tu być. Dla The Ark.

– W takim razie wyruszymy o szóstej, wrócimy na pizzę, włączymy film, a nagrody zaczynają się o drugiej, prawda? – wyrzucam z siebie potok słów.

Jest siedemnasta siedemnaście. Nie będziemy dzisiaj spać, bo zamierzamy obejrzeć West Coast Music Awards, które zaczynają się o drugiej w nocy czasu brytyjskiego. Nasi chłopcy – mam oczywiście na myśli The Ark – będą tam występować. Po raz pierwszy zagrają na ceremonii rozdania nagród w USA.

– Tak. – Juliet kiwa głową z przekonaniem. Kiwanie głową staje się pustym gestem. Odwracam się i zaczynam chodzić w tę i z powrotem po kuchni. Juliet wyciąga telefon.

– Wygląda na to, że chłopcy dotarli do hotelu! – mówi, wpatrując się w ekran. Prawdopodobnie wyczytała to na twitterowym koncie @ArkUpdates, to nasze główne źródło związanych z nimi informacji. Niesamowicie: nie zaglądałam tam od godziny.

– Są już jakieś zdjęcia?

– Tylko jedno niewyraźne, jak wysiadają z samochodu.

Zaglądam jej przez ramię. Oto i oni. Nasi chłopcy. The Ark. Rozmazane, rozpixselowane plamy, na wpół zasłonięte przez ochroniarzy w ciemnych garniturach. Rowan jest z przodu, Jimmy w środku, Lister z tyłu. Zdają się połączyć. Jak Beatlesi na Abbey Road albo grupa kilkulatków trzymających się za ręce podczas przedszkolnej wycieczki do parku.

JIMMY KAGA-RICCI

– Obudź się, Jimjam. – Rowan kopie mnie w piszczel.

Cieszę się, że dla odmiany jesteście z Rowanem i Listerem w jednym samochodzie. Zazwyczaj jeździmy na rozdania nagród osobno i muszę znośić podróż z jakimś ochroniarzem, który patrzy na mnie, jakbym był rzadkim okazem pokemona.

– Nie śpię – odpowiadam.

– Nieprawda – mówi, po czym macha palcami nad głową. – Jesteś gdzieś tutaj.

Rowan Omondi siedzi naprzeciwko mnie na tyłach naszego hummera. Wygląda seksownie. Jak zawsze. Od kilku miesięcy nosi włosy zakręcone w sprężynki i ma na nosie nowe okulary pilotki. Jego garnitur jest czerwony w biało-złote kwiaty – przypomina ogień na tle jego ciemnobrązowej skóry. Na nogach ma buty od Christiana Louboutina.

Zaplata palce na kolanie. Jego pierścionki brzęczą.

– Nic nowego nas nie czeka. To nie pierwszy raz. Co cię trapi? – Ude-
rza się w skroń, wpatrując się we mnie. „Co cię trapi”. Uwielbiam Rowana. Wypowiada słowa w taki sposób, jakby sam je wymyślił. Pewnie dlatego to on pisze nam teksty.

– To tylko niepokój – mówię. – Boję się.

– Czego?

Śmieję się i kręcę głową.

– To tak nie działa. Już o tym rozmawialiśmy.

– Owszem, ale wszystko ma przyczynę i skutek.

– Lęk to przyczyna i skutek jednocześnie. Nieszczęścia chodzą parami.

– Och.

Dla mnie to nic nowego. Moje zaburzenia lękowe to w zasadzie czwarty członek zespołu. Staralem się radzić sobie z nimi na terapii, ale w tym roku nie miałem na nią czasu – najpierw trasa po Europie, potem nowy album – i wciąż nie przyzwyczailem się do nowej terapeutki. Nawet jej nie powiedziałem, że w zeszłym roku na evencie Children in Need miałem straszny atak paniki. I tak zaśpiewałem. Możecie znaleźć ten występ na YouTube. Jeśli dobrze się przyjrzyecie, zobaczycie, jak łzy płyną mi po policzkach.

Zapada cisza. W oddali słyszę krzyki. Brzmią trochę jak morska fala. Chyba jesteście już blisko.

Moje nieprzyjemne uczucia to pewnie po części lęk, a po części po prostu zdenerwowanie dzisiejszym dniem, no i całym mnóstwem rzeczy, których boję się w zasadzie przez cały czas. Boję się ich, nawet jeśli nie ma w nich nic strasznego. Obecnie na liście „rzeczy, których Jimmy najbardziej się boi” znajdują się: podpisanie nowej umowy i powrót do domu z trasy, a także nasz dzisiejszy udział w West Coast Music Awards, czyli pierwszy taki występ na żywo w Ameryce. Nie będzie się różnił niczym szczególnym od naszych pozostałych koncertów – może tylko tym, że wśród publiczności zamiast znających nasze teksty na pamięć nastolatków zasiądą najwybitniejsi muzycy na świecie i ludzie, którzy nigdy o nas nie słyszeli.

Wszystko się dzieje naraz i zmienia, jestem podekscytowany i przerażony, a mój mózg po prostu nie wie, co z tym zrobić.

– Nie mam pojęcia, jak w ogóle udaje ci się pamiętać o lęku, skoro wreszcie występujemy w Dolby! – mówi Lister, który dosłownie podskakuje na siedzeniu z szerokim uśmiechem na twarzy. – Ja się chyba posram z radości. W sensie, serio. Tylko czekajcie.

Rowan marszczy nos.

– Czy moglibyśmy nie rozmawiać o kupie, kiedy mam na sobie garnitur od Burberry?

– Skoro możemy rozmawiać o zaburzeniach lękowych, możemy też rozmawiać o kupie. To w zasadzie jedno i to samo.

Allister Bird. Odgaduję bez trudu, że od wczoraj nie pił ani nie palił. Chociaż wygląda, jakby miał zaraz eksplodować z podniecenia, nieświadomie zaciska zęby i ma wory pod oczami. Nasza menadżerka Cecily wprowadziła zasadę „żadnego alkoholu na pięć godzin przed występem” po słynnym incydencie w *X Factorze*, o-którym-nie-wolno-rozmawiać. Listerowi nie wolno też palić w dni koncertów, chociaż zazwyczaj nic sobie z tego zakazu nie robi.

Nikt inny tego nie wie. Pozostali widzą w nim pięknego chłopca bez szczy. Ma w sobie urok Jamesa Deana, modela z reklamy Calvina Kleina, który właśnie wstał z łóżka. Dzisiaj Lister ma na sobie bomberkę Lo-uisa Vuittona i podarte czarne rurki.

– Ale jesteś chociaż trochę podekscytowany? – pyta, uśmiechając się szeroko.

Trudno tego uśmiechu nie odwzajemnić.

– Tak, jestem trochę podekscytowany.

– To dobrze. Wróćmy do najważniejszego tematu: czy mam duże szanse spaść na Beyoncé i czy to możliwe, żeby wiedziała, kim jestem?

Wyglądam przez szybę samochodu. Jest przyciemniona i takie jest też Hollywood, ale i tak w szybkim biciu mojego serca mieszają się niepokój, podniecenie i niedowierzanie, że wreszcie tu jestem. Coraz rzadziej mi się to zdarza, ale wciąż czasem przypominam sobie, jak dziwne jest moje życie.

Jak bardzo jest piękne. Jakie mam niesamowite szczęście.

Zerkam na Rowana. Patrzy na mnie pogodnie.

– Uśmiechasz się – zauważa.

– Zamknij się – odpowiadam, ale wiem, że ma rację.

– Wszyscy powinniście po prostu spróbować dobrze się bawić – mówi Cecily. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami. Nie podnosi na nas wzroku. – Kiedy ten tydzień się skończy, wasze życie stanie się pięćset razy bardziej szalone.

Cecily, która siedzi naprzeciwko Listera, jako jedyna z nas wygląda mniej więcej normalnie – ma na sobie niebieską sukienkę, czarne loki

zarzucone na jedną stronę, a na szyi zawieszoną smycz. Jedyną rzeczą, która wydaje się droga, jest wielki iPhone, który dzierży w dłoni.

Cecily Wills jest menadżerką naszego zespołu. Jest od nas starsza tylko o jakieś dziesięć lat, ale chodzi z nami wszędzie i mówi nam, co robić, gdzie stanąć, z kim rozmawiać. Gdyby nie było jej z nami, całkiem serio nie mielibyśmy pojęcia, co mamy ze sobą zrobić.

Rowan przewraca oczami.

– Jakież to dramatyczne.

– To szczerza prawda, kochanie. Nowa umowa bardzo się różni od obecnej. No i musicie się dostosować do życia po trasie.

Nowa umowa. Po powrocie z naszej europejskiej trasy, w przyszłym tygodniu wszyscy mamy podpisać nową umowę z naszą firmą Fort Records.

Co to będzie oznaczać? Dłuższe trasy. Więcej wywiadów. Większych sponsorów, bardziej jaskrawy *merch*, a przede wszystkim wreszcie sukces w USA. Ostatnio nasz singiel trafił już w Ameryce do pierwszej dziesiątki, ale plan jest taki, żeby zdobyć tu prawdziwą publiczność, pojechać w trasę i zyskać światową sławę.

Oczywiście tego właśnie chcemy. Żeby nasza muzyka była znana na całym świecie, a nazwiska zapisały się w podręcznikach historii muzyki. Ale nie mogę powiedzieć, żeby ekscytowała mnie myśl o liczniejszych wywiadach i występach gościnnych, liczniejszych koncertach, liczniejszym wszystkim.

– Czy musimy o tym teraz rozmawiać? – mamrocze.

Cecily nie przestaje pisać na telefonie.

– Nie, skarbie. Możecie wrócić do kupy i zaburzeń lękowych.

– Dobrze.

Rowan wzdycha.

– Widzisz, co zrobiłeś? Popsułeś humor Jimmy'emu.

– Mam dobry hu...

Lister otwiera szeroko usta, udając zaskoczenie.

– I to niby moja wina?

– To wasza wspólna wina – mówi Rowan, obejmując gestem Listera i Cecily.

– Nieprawda – zaprzeczam. – Po prostu mam dziwny nastrój.

– Ale jesteś podekscytowany, prawda? – znowu pyta Lister.

– Tak! Naprawdę!

Mówię serio. Jestem podekscytowany. Po prostu jednocześnie jestem też zdenerwowany, przerażony i niespokojny.

Cała trójka patrzy na mnie.

– Występujemy przecież w Dolby! – mówię i znów się uśmiecham.

Rowan unosi nieco brwi, ale kiwa też głową. Lister wydaje z siebie okrzyk radości i zaczyna opuszczać szybę. Cecily uderza go w dłoń i podnosi ją z powrotem.

Wrzaski dobiegające z zewnątrz stają się ogłuszające. Samochód się zatrzymuje. Trochę mi niedobrze. Szczerze mówiąc, nie wiem, czemu tak mnie to dzisiaj stresuje. Zazwyczaj nie mam z tym problemu. OK, jestem ostrożny, ale czuję się dobrze. Teraz jednak okrzyki nie brzmią już jak morska fala. Brzmią jak metaliczny pisk ciężkich maszyn.

Na pewno będę się lepiej bawił, kiedy dotrzemy na miejsce.

Pocieram palcami o obojczyki, szukając mojego małego krzyżyka. Proszę Boga, żeby ukoił moje nerwy. Mam nadzieję, że słucha.

Jak zwykle jestem ubrany na czarno. Czarne cygaretki, sztyblety, które mnie obcierają, duża kurtka dżinsowa i koszula, którą wciąż rozciągam, bo wydaje mi się, że się w niej duszę. I mały pin z flagą trans, który zawsze przypinam sobie do ciuchów na ważnych imprezach.

Rowan rozpina pasy, delikatnie klepie mnie w policzek, szczypie Listera w nos i mówi:

– Chodźmy, chłopaki.

Dziewczyny to nic nowego. Zawsze na nas czekają. Nie przeszkadza mi to. Nie powiem, żebym je rozumiał, ale do pewnego stopnia chyba odwzajemniam ich miłość. Kocham je tak, jak kocham instagramowe filmiki przewracających się szczeniaków.

Wsiadamy z samochodu, jakaś kobieta poprawia nam włosy i makijaż, inna rolką czyści moją kurtkę. Zachwyca mnie to, że zdają się pojawiać

znikąd. Faceci w dżinsach trzymają wielkie aparaty. Łysi ochroniarze są ubrani na czarno. Wszyscy mają na szyjach cholerne smycze.

Rowan robi poważną minę. To przezabawne. Dzióbek i uwodzicielskie spojrzenie. Na zdjęciach raczej się nie uśmiecha.

Lister z kolei wszystkich obdarza uśmiechami. Nigdy nie wygląda na smutnego. Jeśli istnieje przeciwieństwo focha, to właśnie on je uosabia.

Wrzaski mnie ogłuszają. Większość dziewczyn krzyczy po prostu: „Lister”. Lister obraca się, unosi dłoń. Zbieram się na odwagę, żeby też na nie spojrzeć.

Dziewczyny. Nasze dziewczyny. Ściskają druciany płot, machają telefonami, zgniatają się nawzajem i wrzeszczą ze szczęścia.

Podnoszę rękę w geście pozdrowienia, a one odwzajemniają go wrzaskiem. Oto nasz sposób komunikacji.

Jesteśmy ponaglani przez eskortujących nas dorosłych. Ochroniarzy, wizażystki, kobiety z walkie-talkie w dłoni. Rowan idzie środkiem, Lister z przodu, a ja ociągam się trochę, bardziej podekscytowany tym rozdaniem nagród niż zwykle. W Anglii zawsze jest podobnie, ale to pierwsza taka nasza impreza w Stanach – a więc coś wyjątkowego. To nasz pierwszy krok ku amerykańskiemu przemysłowi muzycznemu, ku światowym sukcesom i pozostawieniu po sobie śladu.

Z wiejskiego garażu gdzieś w Kent trafiliśmy na hollywoodzki czerwony dywan.

Spoglądam w kalifornijskie słońce i znowu się uśmiecham.

Podobno zdjęcia są bardzo ważne. Jakby nie istniało już na świecie wystarczająco dużo naszych fotografii. Cecily próbowała mi to kiedyś wytłumaczyć. Powiedziała, że potrzebne są aktualne zdjęcia wysokiej jakości. Potrzebują wysokiej jakości zdjęć mojej głowy, bo ogoliłem boki. Potrzebują wysokiej jakości zdjęć garnituru Rowana, bo będzie o nim mowa w pismach mody. Potrzebują wysokiej jakości zdjęć Listera, bo dobrze się sprzedają.

Zbieramy się, żeby zapozować fotoreporterom. Czasem nadal mi się wydaje, że jesteśmy tu tylko we trzech, chociaż wciąż otaczają nas inni ludzie – roją się wokół nas dorośli, którzy kładą nam ręce na plecach

i wskazują, gdzie mamy stanąć, po czym uciekają, żeby fotografowie mogli odpalić fajerwerki fleszy. Napotykam wzrok Listera, który niemo wypowiada do mnie słowa „zesram się ze strachu”, po czym odwraca się i obdarza ludzi z aparatami oślepiającym uśmiechem.

Jak zawsze stoję w środku, trzymając ręce przed sobą. Rowan, najwyższy z nas trzech, stoi po mojej lewej stronie i kładzie mi dłoń na ramieniu. Lister jest po mojej prawej; trzyma ręce w kieszeniach. Nie planowaliśmy tego. Tak po prostu robimy.

Podobnie jak dziewczyny, fotografowie krzyczą głównie do Listera.

Lister tego nie cierpi.

Rowana szalenie to bawi.

Mnie też to bawi.

Nikt poza nami o tym nie wie.

– Tutaj! W prawo! Ej! Lister! Tam! Teraz w lewo!

I tak dalej. Możemy tylko stać i patrzeć w światła fleszy.

Wreszcie jakiś mężczyzna wskazuje nam gestem, że możemy iść dalej. Fotografowie nadal na nas krzyczą. Są gorsi od dziewczyn, bo robią to nie z miłości, a dla pieniędzy.

Podchodzę do Rowana, który odwraca się do mnie i mówi:

– Pobudzeni dzisiaj, co?

– *California, baby* – odpowiadam.

– Śmieszny ten świat. – Rowan wyciąga naprzód ramiona, żeby poprawić rękawy. – Jezu, strasznie się pocę.

– Ej, to ja jestem ubrany na czarno!

– Przynajmniej masz na nogach skarpetki. Wydaje mi się, że już czuję smród swoich stóp. – Macha jedną w moim kierunku. – Skórzane buty bez skarpetek to koszmarny pomysł. Mam tu kałużę potu.

Wybucham śmiechem. Idziemy dalej.

Tu jest większość dziewczyn. Rozciąga się przed nami długi czerwony dywan, a dziewczyny są po obu stronach, opierają się o płot, machają telefonami. Kiedyś żalowałem, że nie mogę porozmawiać z każdą z nich.

Lister rusza naprzód lewą stroną dywanu, od czasu do czasu zatrzymuje się, żeby zapozować do selfie z którąś z fanek. Chwytają go za ramiona, za marynarkę, za ręce. Uśmiecha się i idzie dalej. Ochroniarz czai się tuż za nim.

Rowan nie cierpi dziewczyn, sposobu, w jaki krzyczą, chwytają go, płaczą i błagają o to, żeby je obserwował na Twitterze. Ale nie chce też, żeby go znienawidziły. Więc również idzie cyknąć sobie parę selfie.

Ja już tego nie robię. Nie zbliżam się do nich. Macham z uśmiechem i jestem bardzo wdzięczny, że nas wspierają i kochają, ale... boję się ich.

W każdej chwili mogłyby mnie skrzywdzić. A co, jeśli któraś ma pistolet? Nikt by o tym nie wiedział. Jedna obłąkana osoba i już bym nie żył. A jestem niezłym celem. Kiedy jesteś członkiem jednego z najbardziej znanych boysbandów w Europie, jesteś niezłym celem.

To dla mnie typowe. Lęk, paranoja, za dużo myśli. Wszystko naraz w jednym małym mózdzku.

Idę więc powoli naprzód i macham. One odwzajemniają pozdrowienie, śmieją się i płaczą, są takie szczęśliwe. To dobrze. Bawią się wspaniale.

Kiedy docieram na koniec dywanu, znowu idziemy wszyscy razem, lekko od siebie oddaleni. Czasem żałuję, że nie możemy trzymać się za ręce. Za żadne pieniądze nie zgodziłbym się robić tego wszystkiego sam.

To stresujące. Przeróżające. Nie sposób się do tego przyzwyczaić. Do wrzeszczących, obmacujących cię dziewczyn. Wiele z nich lubi nas tylko dlatego, że jesteśmy ładni. No, ale póki jesteśmy we trzech, robimy razem muzykę i prowadzimy takie życie – gramy co tydzień w innym mieście, obdarowujemy ludzi uśmiechem, pozostawiamy po sobie ślad – wszystko jest w porządku, jest dobrze, jest OK.

Rowan kiwa głową w moją stronę. Poklepuje Listera po plecach. Przy najmniej nie jestem sam.